WOJCIECH ROSTWOROWSKI

MARATON

MARATON

TŁOCZNIA
WŁ. ŁAZARSKIEGO
W WARSZAWIE

ŻOŁNIERZOWI POLSKIEMU

I.

ZA zniewagę posłom wyrządzoną, za Mardoniuszową u góry Athos klęskę, za zdrady i wyniosłość Helleńską pomstę straszliwą gotuje w sercu swojem możny król Daryusz. Niedarmo mu niewolnik co dnia, w pas się kłaniając, przypomina zuchwałe miasto i zuchwałych Ateńczyków.

Król królów, pan Suz wysokich i dumnego Babylonu, Medów i Scytów pogromca, co przed laty brzegi dalekie Hellespontu mostem powiązał, by hufce swoje przezeń przerzucić, zemstę swoją królewską przysięga.

A nad tem, by nie zmiękło serce królewskie i nie poniechało gniewu, czuwa zdradziecki Pizystratowy syn, któremu wolność miłujące miasto władzę zabrało, życie jeno ostawując.

Chytremi słowy podnieca Hippiasz nienawiść Daryuszową, o wolnościach mu ateńskich prawiąc, o cnotach rycerskich, co przed nikim strachu nie znają, rozpowiadając, że cień ponury pada na twarz królewską, a oczy gniewem się zapalają.

I nakazuje król ku wojnie się zbierać.

Ściągają nieprzeliczone hordy z bogatej w zboża i owoce Assyryi, ze scytyjskich podbitych stepów, z przyległej Medyi,

z dalekiego Egiptu, z Lidyi, z perskich skalistych wzgórzy, aż z ponad brzegów Indu, co do nieznanego morza głębokie swe wody niesie.

Ściąga ćma barbarzyńska — nieprzeliczona i straszna, skinieniu królewskiemu posłuszna.

Idzie, jak burza, co kłosy łomie i dęby święte przewraca, ku attyckim, słonecznym brzegom. Morze żaglami nakrywa, a gdzie jeno stopą lądu dotknie, — tam się z warownych miast i wysp zielonych popioły dymiące ostają.

Już się Naxos poddał. Już się Paros w pustynię obrócił, już się sąsiednia Eretrya w łańcuchy skować dała...

Już — już u proga ćma barbarzyńska — nieprzeliczona i straszna.

II.

NA Rynku ateńskim na radę walną lud zebrany. Zasiedli na wzgórzu mężowie, areopag stanowiący, posiwieli w mądrości i radzie; zeszły się prytanie w liczbie dziesięciu, bo tyle ich prawo ateńskie mieć chciało, by miastem i krajem rządziły; stawili się hetmani wszyscy —

wodzowie rycerstwa i poświęceni bogom kapłani.

Bowiem burza szła na miasto i na dobro pospolite nieprzyjaciel następował, wspólnie tedy radzić należało.

A zewsząd wieści posępne — serca kruszące.

Przybiegł ze Sparty szybki Phidippides z wieścią, że przed pełnią miesiąca nie wyruszy stamtąd rycerstwo. Odmówiły pomocy Teby zazdrośne i Megara, i zadufany w bogactwie swojem Korynthos, i Argos, i Mykeny — jedne z lęku, a z zawiści ku słonecznym Atenom — drugie.

Z jednej strony — ćma barbarzyńska nieprzeliczona i straszna; z drugiej — mężów kilkoro tysięcy, garść rycerska.

Na rynku ateńskim męże zebrani radzą.

Niemałe się rzeczy ważą, tedy choć

tłumnie na Rynku, — a cicho, snać słowo każde wagę swoją dzisiaj odnalazło.

I nierad nikt głosu zabierać, jedno czeka, aż go inny uprzedzi; a u wielu w sercach — myśli takie, że je wstyd z piersi wyrzucić, i milczą.

Bowiem trwoga padła na męże i wątpienie.

Gdyby z nimi była Sparta i Korynt, i Megara, i inne miasta helleńskie, możeby się najeźdźcy oparli, i hordzie czoło stawili, a tak, jakoż się obronić, kiedy na jednego męża stu może wypadnie barbarzyńców. I głosy podnoszą się nieśmiałe, myśli swej nie mówiące, by czekać, aż się złota kula miesiąca ukaże — i Sparta przyjdzie.

A za nimi już chór liczny powtarza to, co jest tylko myśli ukryciem: czekać, czekać, czekać!

Gońców raz jeszcze porozsyłać i do Teb, i do Megary, i do Koryntu — i czekać, czekać!

Tak przez męże trwoga woła i wątpienie.

Bo jakoż czekać, kiedy nieprzyjaciel u proga, i tylko patrzeć, jak hordy swoje na brzeg wyrzuci.

Jedno pozostaje: iść naprzeciw i zginąć, albo drugie: ziemię i wodę ponieść, karki zgiąć i na zmiłowanie się królewskie oddać.

Albo sława i śmierć rycerska, albo niewola i pohańbienie.

I już się głosy za jednem i za drugiem odzywają. Jedne śmiałe za broń każą chwycić, drugie się w mowy mądre i skryte ubierają. Nie o nich idzie, jedno o miasto i nie o życie ich, ale o święte ołtarze; wejdzie ćma barbarzyńska, powywraca świą-

tynie i bogi, tedy lepiej przystoi mądrość niż męztwo i rozwaga od zuchwalstwa szanowniejsza.

Za jednem i za drugiem głosy się odzywają; a coraz głośniejsze te, co nieśmiało zrazu o ziemi i wodzie wspominały.

Niechaj idą kapłani i starcy, niech znak poddania poniosą, i niech bogini mądrości nieśmiertelnej, dziewica Pallas Athene będzie z nimi!

— Niechaj idą — powtarzają, jak echo, inni.

— Lepsza śmierć, niż niewola — wołają drudzy: gorze zwyciężonym!

I już się wśród mężów, na Rynku zebranych, gniew i pomruk, z rozdwojenia myśli idący, zrywa.

— Tchórze nikczemni! — wołają jedni.

— Głupcy bezrozumni! — wołają drudzy.

I znowu:

— Tchórze, tchórze nikczemni!

O Pizystratowym synu, który na czele barbarzyńców płynie, jeden ze starców rozpowiada. Mądrość jego i łagodność sławi i u króla Daryusza zachowanie i do ojczyzny niewdzięcznej miłość. Jak ojciec boskiej Palladzie ołtarze wznosił, święte igrzyska ustanawiał, miasto zdobił, tako i syn czynił będzie, kiedy go wielki król znowu na ojcowskim stolcu posadzi. Przebłaga gniew królewski Hippiaszowa prośba i Hippiaszowe za miastem rodzonem wstawiennictwo, że i świątynie ocalone, i bogi, i domostwa w pokoju z królem zakwitną. Posłów trza tedy słać, nie zwlekający i myśli bezrozumnych, rzeczy pospolitej zgubą grożących, zaniechać.

I znowu potakiwania i krzyki:

— Posłów słać, niechaj się za miastem

u Pizystratowego syna wstawią, niechaj wodzom królewskim ziemię i wodę niosą!

Nie mówi nic szlachętny Arystydes, ani się przenikliwy Kallimach odzywa, ani Temistokles, ani Miltyades.

Niespokojnemi oczami patrzą na nich mężowie ateńscy, milczeniu się ich dziwując, kiedy miasto rady potrzebuje.

Jedni o wyrocznię wołają, drudzy o liczbę barbarzyńców zapytują, trzeci na wodzów nastają, żeby głos zabrali.

Ale milczą święte wyrocznie, tylko wieści trwożne, przez kogoś rozsiewane, chodzą, że Pallas Promachos nad ranem włócznię złotą opuszczoną trzymała, a święte naczynia w chramie Zeusowym popękały.

Snać i Athene sama barbarzyńcom się poddaje, skoro włócznię swoją ku ziemi zwiesiła, a Zeus ofiar błagalnych nie głodny, kiedy naczynia święte porozbijał.

— Gorze nam, gorze!

Aż wreszcie naglony ze wszech stron powstał wiekiem najstarszy hetman-strategos Kallimach i temi przemówił słowy:

— Wiecie już, mężowie ateńscy, że nikt się ku obronie naszej nie pokwapił; wiecie, że odmówiły zazdrosne Teby i Megara, i Korynt, i wszystkie miasta helleńskie, a Sparta nam pełni czekać kazała. Wiecie tedy, że garść się jeno nas ostała naprzeciw ćmy barbarzyńskiej nieprzeliczonej i strasznej. Słusznie więc, żeście się nad dobrem pospolitem naradzać i ratunek obmyślać przyszli. Jeno, jak różne serca, tak i różne rozumy dali ludziom bogowie nieśmiertelni, przeto jedni jedno radzą, drudzy — drugie, w równej o dobro pospolite trosce.

— Niemasz tedy innej rady, o wolni mężowie ateńscy, jeno niech każdy czyni, jak

mu się najlepiej wydaje. Niechaj ci, co śmierci szukają, idą na śmierć, a ci, którym życie i święte ołtarze drogie — niechaj żyją.

— Nie ludzie, jeno bogowie zwyciężają, tedy małej jest wagi rzeczą, czy naprzeciw ćmy barbarzyńskiej kilkoro, czy też mniej tysięcy mężów za rzeźbionemi tarczami stanie.

— Niechaj więc każdy przy swojem pozostaje: szalony przy szaleństwie, roztropny przy roztropności swojej.

— Jeno bezpieczniej będzie, byście nie ostawali w mieście, a zabrawszy dzieci i żony, i dobytek, w góry dalekie uszli i tam schronienia u bogiń źródlanych, czy dryad leśnych szukali. Bo, skoro wejdzie nieprzyjaciel, garść, co mu na drodze stanęła, rozbiwszy, lepiej, żeby znalazł ołtarze i świątynie puste, niż, żeby miał tłumy nieprzy-

jaciół w nich obaczyć. I łacniej się nad murami wzruszy, niż nad ludźmi, któreby niechybnie pomordował, krwią ołtarze kalając.

— A kiedy już Pizystratowy syn na tronie ojcowskim z woli króla Daryuszowej zasiądzie, tedy was zapewne łaskawie z powrotem przywoła, bo potrzebni są królom poddani, by mieli komu rozkazować.

— Jeśli wam więc, mężowie ateńscy, świątynie i bogowie drodzy, tedy nie zwlekając, porzucajcie miasto i niech się pobożności waszej i roztropności zadość stanie.

Skończył mówić i przenikliwemi oczami po mężach wkoło zebranych wodził, a gdy mu nikt naprzeciw z odpowiedzią nie śpieszył, uśmiech nieznaczny na chwilę twarz hetmańską rozjaśnił, zaczem, nachyliwszy się ku Arystydowi, rzekł półgłosem:

— Niemasz dla człowieka nic bardziej gorzkiego, jak kiedy mu się jego serce nagie pokaże.

A Arystydes odrzekł:

— Wychłostałeś męże chłostą, Kallimachu, że, jak rażeni, przed tobą stoją. Patrzaj!

Jakoż istotnie ci, co przed chwilą najgłośniej o noszenie ziemi i wody wołali, stali teraz z pochylonemi głowami, z oczami utkwionemi w ziemię, nieruchomi i milczący.

Chłosta hetmańska przez serca im przeszła, wstyd w nich palący zostawując. Oni męże, w radzie będący, męże rycerni mieliby patrzeć, jak się garść waleczna zbiera, a sami na pole nie biedz?

Lęk im dusze pomącił, rozumy odebrał, na pohańbienie i srom podał. Niechaj się dzieje, co chce, niech ich Tanatos jutro w ramiona swoje bezkrwiste bierze, niech

nie zostaje żywy nikt, ale pójdą wszyscy, wszyscy jak jeden mąż — i zginą.

I już jeden krzyk ze wszystkich piersi się zrywa, dostojny i rycerski, wołający o walkę lub śmierć.

III.

NA *równinie Maratońskiej dwa wojska wyciągnięte stoją. Wojska dwa i dwa światy, co się za chwilę w orężnem spotkaniu zetrą: z jednej strony ćma barbarzyńska nieprzeliczona i straszna, z drugiej garść rycerska — mężów dziesięcioro tysięcy.*

Nad rycerstwem helleńskiem Miltyades hetmani, bo jemu jednemu strategów reszta buławę w tym dniu oddała. Hetmani tedy i rozkazy wydaje, hufce rozstawia i orlim wzrokiem po równinie się Maratońskiej rozgląda.

A nad wojskiem boska Pallada niewidzialna czuwa.

Na prawem skrzydle młody hoplita stoi, syn Stesagora, Tolmides. Oczy ku szeregom nieprzyjacielskim wytęża, włócznię w dłoni zaciska, krwi barbarzyńskiej niecierpliwy i śmierci.

Kiedy na Rynku ateńskim mężowie radzili, by wodzom królewskim ziemię i wodę ponieść, zmąciło mu się waleczne serce i razem z innymi o słanie posłów wołał. Pomieszał mu się rozum, hart go rycerski odbiegł na tę chwilę, trwoga nikczemna opadła, o bogach, co zwycięstwo dają, zwątpił i ra-

zem z innymi to, co mu się roztropną mądrością wydało, doradzał.

Ale go Kallimachowe słowa obudziły. Wstyd go palący przejął i ból go piecze, który we krwi barbarzyńskiej dzisiaj wraz z życiem utopi. Na śmierć pójdzie, a może mu bogi nieśmiertelne jego o ojczyźnie wątpienia pamiętać nie będą i krew jego ofiarną przyjmą.

Niech się tylko bój zacznie, niech się już dźwięk rogu odezwie.

I ruszyły szeregi helleńskie, rozkazowi hetmańskiemu posłuszne. Włócznie przed siebie wyciągnięte trzymają, tarcze rzeźbione dźwięczą, u boków miecze krótkie, na dwie strony ostrzone, się kołyszą.

Leci garść rycerska naprzeciw ćmy barbarzyńskiej nieprzeliczonej i strasznej.

Już się zwarli w spotkaniu śmiertelnem, już zbroje chrzęszczą, już miecze serc nie-

przyjacielskich szukają, już się krew helleńska z krwią barbarzyńską na błoniu Maratońskiem zbratała.

Wojska dwa, a męztwo jedno i jedna u obu nienawiść.

Nie wytrzymały naporu szeregi ateńskie, pośrodku wojsk przez hetmana postawione. Już w tył się złamane podają, już się cofają przez ćmę barbarzyńską zalane, już krzyki zwycięztwa z piersi się Medów i Persów wyrywają.

A na nawałę wrażą, tak naprzód sunącą i zwycięską, hetman skrzydła swoje dwa obraca.

Rzuca się w gąszcz nieprzyjacielską mężny Kallimach, nad prawem skrzydłem dowództwo mający, z lewego się skrzydła platejskie na odsiecz hufce zrywają. I już z trzech stron barbarzyńcy rażeni z helleńskimi się pułkami ścierają.

A na przedzie Kallimachowych rot — syn Stesagorów, Tolmides.

Włócznię długą, w zwartym boju niepotrzebną, cisnął, miecza jeno krótkiego dobył i serca nim nieprzyjacielskie przebija.

Za lęk i małoduszność wczorajszą, za wczorajsze o ojczyźnie wątpienie, dzisiaj, w kurzu bitewnym, w męce, we krwi, śmierci ofiarnej szuka.

W uszach mu wraże okrzyki, co się już zwycięztwem radowały, dzwonią, gniew sroższy jeszcze i nienawiść rozpalając. W wał się najgłębszy, w ćmę najgęściejszą rzuca, gdzie jeno oczy poniosą, gdzie jeno ręce nie słabnące dostaną.

A już się losy bitewne ważyć poczynają. Już ćma barbarzyńska wstrzymana, już pułki helleńskie nacierają, już się nieład pogromny w szeregach nieprzyjacielskich poczyna.

Jeszcze się perskie waleczne bronią zastępy, a już się Medowie cofają, już lidyjskie ustępują wojska, już się egipskie do ucieczki zbierają hordy.

Jeszcze się chwilę losy zaważą, jeszcze się raz twarzą w twarz garść rycerska z ćmą barbarzyńską zmierzy i już wielki okrzyk zwycięztwa z piersi się helleńskich dobędzie.

W trwodze, w popłochu Daryuszowe ucieka wojsko, rozsypane i bezładne, a za niem krwawa pogoń ateńska hula.

IV

NIE pojmuje zrazu Tolmides helleńskiego zwycięztwa. Mącą się myśli rycerskie, oczy kurzem i męką bitewną zamglone, klęski barbarzyńskiej nie widzą, serce, bojem znużone, radosnego jeszcze wesela nie rozumie.

Miecz, w ręku trzymany, opuścił, a krew po nim na ziemię spływa.

Przed nim wodze stoją: Arystydes i Kallimach. Twarze hetmańskie surowe, lecz uśmiechem rozpogodzone, radosne. Oczy wdal patrzą, kędy się spłoszona ćma barbarzyńska kłębi.

I mówi Arystyd:

— Prawdę mówiłeś wczoraj, Kallimachu, że nie ludzie, ale bogowie zwyciężają...

A Kallimach rękę ku młodzieńcowi wyciągnął, znak mu dając, by się zbliżył, a gdy ten podszedł, rzekł:

— Bardzoś utrudzon, Tolmidesie?

— Nie, wodzu.

— Widziałem cię, jakeś szedł w gąszcz nieprzyjacielską i aż mi dziwno, że cię żywego oglądam.

Sposępniała na chwilę twarz rycerza i odrzekł:

— Nie chciał Tanatos krwi mojej przyjąć — i żywię.

I znowu Kallimach:

— Trzeba ku miastu gońca wysłać, niechaj się z nami zwycięztwem cieszą i niech bogom ofiary złożą.

— Jeśli mi iść pozwolisz, Kallimachu — pójdę.

Spojrzał wódz na młodzieńca zadziwionemi oczami i rzekł:

— Jakoż pójdziesz, kiedy ci jeszcze miecz od krwi barbarzyńskiej nie zasechł i całyś blady od utrudzenia i męki?

— Nic to, wodzu, pójdę...

— I dobiegniesz?

— Dobiegnę — jedno mi zwólcie iść.

— Pilno ci wieść radosną ponieść?

— Pilno, wodzu, i na sercu ciężko tu ostawać...

— Czemu młodzieńcze?

— Bom wśród tylu śmiercią rażonych żyw, a winny.

— Jakoż winny?

— Jam wczoraj o ziemię i wodę wołał...

Dobroć wielka i wzruszenie twarz hetmańską pokryło. Zbliżył się do młodzieńca, ręce mu na ramionach położył, do piersi przycisnął i rzekł:

— Biegnij tedy, synu, do miasta, biegnij, i jeśli tam jeszcze słabe serca ostały, to je pierwszy wieścią rozraduj. Idź, a niech cię bogi nieśmiertelne prowadzą.

A gdy młodzieniec odstąpił, zwrócił się do Arystyda i rzekł:

— W boskich rękach jest serce ludzkie: czasem je na wosk miękki roztopią, a czasem je w kruszec najczystszy zahartują... Zaprawdę, Arystydzie, zawiele w jednym dniu radości dają nam, śmiertelnym, bogowie.

V.

Wrzawa jeszcze i zgiełk na Maratońskiej równinie, a już goniec ku słonecznym Atenom leci.

Radosny wysłannik hetmański wieść ma o zwycięztwie ponieść, serca pokrzepić i bogom ofiar składanie nakazać.

Zerwał się, tak, jak stał, słowa hetmań-

skie posłyszawszy—i leci. Rycerskiego rynsztunku nie zdjął, przepomniawszy o wszystkiem—o jednem tylko pamiętając. Oto ku miastu leci ze słowem—wieścią, że pokonana jest ćma barbarzyńska przez garść helleńską. Nie ciąży mu zbroja pancerna, ani mu hełm wysoki zawadza, ani go miecz, u boku wiszący, zatrzymuje. Byle prędzej do miasta dobiedz, byle prędzej okrzyk zwycięztwa z piersi wyrzucić: na co się tam mają serca w wątpieniu o ojczyźnie łamać...

I leci, a przez głowę szybkie, jak wicher, myśli przechodzą, a przed oczami wspomnienia stają.

Jeszcze chwila, a już miasto przed sobą obaczy: Ołtarze nietknięte stoją; marmury błyszczą; na świętem wzgórzu bogi straż nieśmiertelną trzymają. Za nic temu miastu moc Daryuszowa... za nic mu ćma barbarzyńska—nieprzeliczona i straszna.

Nie ono się jej zlękło tylko jego serce małoduszne i trwożliwe. On się jego zaparł, a teraz pierwszy biegnie, by nieśmiertelność jego i zwycięztwo głosić.

Stanie w miejscu, z którego wczoraj o poddanie wołał i, skoro krwi jego bogowie przyjąć nie chcieli, to choć duszę w tym krzyku zwycięzkim wypłacze...

I leci tak przed siebie, niecierpliwy i szybki, do Nike skrzydlatej podobny; leci, nie czujący znużenia, lekki, choć w zbroję odziany, a w piersi pod kutym pancerzem rycerskie serce się tłucze.

Byle pentelikońskie zbocze przebyć, byle te jego skręty niezliczone za sobą zostawić, a już się wnet miasto pokaże i Akropolis święte błyśnie.

Ale nie błyska święte Akropolis, ani się miasto słoneczne pokazuje, tylko wstęga kręta drogi dalekiej przed oczami się wije...

Już mu zbroja, lekka zrazu, ciążyć poczyna, już miecz się plącze, już hełm wysoki skronie uwiera, a pod pancerzem serce zamknięte, jak młot, wali.

Może hełm zrzucić — może miecz odpasać — może pancerz kowany i tarczę na drodze zostawić i lecieć, kroku podwoić i lecieć?

Ale żal rycerzowi zbroję porzucać, kiedy się już wnet miasto pokaże i Akropolis święte błyśnie...

I jakoż miałby przystawać na drodze, on, goniec, co ludziom z Maratońskiego pola orędzie hetmańskie niesie?

I leci tak wśród pentelikońskich różowych skał, wśród nagich marmurowych ścian, ludzkiemi poranionych rękami. Nogi mu się plątać poczynają, oczy mgła nieznośna przesłania, a serce, jak szalone, pod pancerzem się tłucze.

Może je tak radość przynagla; może je niepokój pędzi, może je siły młode rozsadzają?...

Trza mu biedz, biedz prędzej, zanim się wóz słoneczny za siną wodę nie skryje, zanim się ludzie, lękiem zmożeni, nie pokładą, zanim noc na miasto święte nie padnie...

Leci, a zda mu się, że droga przed nim ucieka, że na miejscu stoi, że go nogi szybkie nieść przestają.

Za górą jeszcze miasto — za górą!

Na rynku starcy i kapłani zebrani oczy ku Maratońskim błoniom wytężają, gońca wypatrują, wieści upragnionej czekają...

A jeszcze za górą goniec — za górą wieść — za wysoką górą wesele!

Trza biedz, trza sił dobyć, trza to serce niespokojne uciszyć...

Miasto, już miasto!

Przed oczami święte wzgórze się jawi, miasto w dole rozłożone błyszczy: jeszcze chwila—a wieść się po niem radosna roz-niesie.

Tak mu lekko biedz teraz, jakgdyby mu Nike zwycięzka skrzydła swoje przypięła i ku murom słonecznym go niosła: ani mu zbroja ciąży, ani mu hełm wysoki skroni uwiera — tylko serce szalone pod rzeźbionym pancerzem się tłucze.

Radość je tak zagrzewa, niecierpliwość je pędzi, siły je tak młode rozsadzają...

Miasto, już miasto!

Ćma barbarzyńska na polu Maratońskiem rozbita—a ono nieśmiertelne, w słońcu skąpane stoi. Bogi, nad niem straż trzymające, czuwają.

Nie wiedziały oczy, że je jeszcze w chwale oglądać będą; nie myślały myśli, że je żywe i miłujące w ramiona jeszcze obejmą; nie

zgadywało serce, że się jeszcze bijące u świętych ołtarzy położy...

A oto on, wysłannik hetmański, orędzie jemu radosne niesie. Niechaj się dusze lęku zbędą; niech się rozradują serca, swego o ojczyźnie wątpienia żałujące...

I leci tak, jak na skrzydłach niesiony — rycerz radosny — Maratońskiego zwycięztwa zwiastun — Nike Maratońskiej goniec i syn.

Już go starcy na rynku ujrzeli; już go kapłani widzą; już go niewiasty i dzieci otaczają.

A u wszystkich jedno oczekiwanie, jedna oczekiwania niespokojność...

— Goniec, goniec, z pola Maratońskiego goniec!

A on stanął — ręce tylko przed siebie wyciągnął — oczy mu błysk jasny radości i tryumfu rozświecił — usta otworzył, żeby z nich krzyku dobyć — i padł martwy na ziemię.

Zamarł na chwilę, zdrętwiał, oniemiał tłum... aż się nagle w tej ciszy, co na serca padła, głos czyjś dźwięczny i donośny zerwał:

— Bogom, co zwycięztwo dali — dziękczynienie, a synom, co padli, — cześć!

Z pękniętego Tolmidesowego serca płynęła czerwoną strugą na ziemię krew ofiarna...